

Nr. 8. Poznań, dnia 22 Lutego 1879. Rok II.

ANDRZÉJ NIEGOLEWSKI.

(Ciąg dalszy).

„Po powrocie moim z reconnaissansu,“ pisze daléj pułkownik Niegolewski, „już się oddziały piechoty francuzkiéj na skały po lewéj i prawéj stronie wąwozu drapały. Czy marszałek Victor sam oddziały te po lewéj a szef sztabu jego Sémélé, po prawéj stronie z dobytą szpadą pieszo prowadzili, nie wiem, lecz mi się zdaje że tak nie było, gdyżby z pewnością byli Francuzi o tém głosili a ja nigdy tego, ani słyszałem ani czytałem. Oddziały te, które przeznaczone były, aby piechotę hiszpańską po prawéj i lewéj stronie wąwozu między skałami ustawioną, by z swych zajętych tam stanowisk wąwóz tém niedostępniejszy uczynić, wypłoszyły, musiały tylko z skały na skałę się wdrapywać. Piechota hiszpańska nie zbytecznie się opierając, cofała się za góry, gdzie obóz don Benity San-Juan znajdował się a do którego Francuzi tylko przez ten później tak wsławiony wąwóz dostać się mogli. W téj ich pozycyi mieli się Hiszpanie za niezwyciężonych. Junta centralna nawet się z Aranjuez nie ruszywszy, wszystkie siły około Madrytu zgromadzone, tam dotąd wysłała, w przekonaniu że żadna siła bramy téj Madrytu samą swą pozycyą silną, skoro nadto dobrze obwarowaną będzie, nie jest w stanie zdobyć. Wszystkie przeto wysilenia francuzkie miała Junta i miał don Benito za próżne, w przekonaniu że nigdy cesarz gros swéj armii tą drogą nie przeprowadzi a innéj drogi do Madrytu, skoro nie chciał iść na Guadaramę kilka marszów na lewo wąwozu, zostawiając po za sobą obóz Hiszpanów, nie było. Na obwarowanie przeto téj tarczy, po za którą za niezwyciężonych Hiszpanie się mieli, całą swą uwagę wytężyli. Wąwoz ten był téż, tak jak go istotnie Hiszpanie obwarowali, podług pojęć ludzkich niezdobyty. Pominąwszy bowiem jego cieśninę między wysokościami skalistemi pod górę prowadzącą, pominąwszy że nietylko po lewéj i prawéj jego stronie ale i na samym jego szczycie piechotą był najeżony, był wąwoz ten kręty cztery razy łamany a w każdém tém zagięciu czterema armatami uzbrojony, tak że nietylko na szczycie i po obu stronach najeżona piechota ale w ogóle szesnaście armat piętrami ustawione, paszcze swe na nas rozdziawiwszy przystępu do niego broniły i wszystko też co się na gościńcu pokazało, zmiatały.

Co tutaj zresztą przed wąwozem w czasie méj niebytności zaszło, nie wiem i dla tego o tém co mnie tylko z opowiadań doszło, nie wspominam. Nie mogę jednak tego przepomnieć, co mi później opowiadano, ża w czasie tym kawalerya francuzka o zdobycie wąwozu się miała kusić, lecz tylko kusić, gdyż rzęsisty grad kul armatnich, który z góry ich ledwie co atak rozpoczynających przywitał, miał im być oraz hasłem do odwrotu. Powtarzam przecież że nie widziawszy tego, prawdziwości faktu nie zaręczam. Zupełnie bez przyczyny jednakowoż wieść ta być nie mogła, kiedy i Gorecki w swym znanym wierszu o tem wspomina.

Co się zaś tyczy piechoty francuzkiéj, to ta miała być początkowo do wzięcia wąwozu przeznaczona. Grad przecież kul z góry spadający, który wszystko co się na gościńcu znajdowało zmiatał, musiał przecież wkrótce cesarza przekonać że piechotą wąwozu, nie zdobędzie. Morderczy ten z gór ciskany ogień nietylko nie pozwolił piechocie francuzkiéj kusić się o zdobycie wąwozu ale nawet wstrzymał ją od zrównania faszynami wyżéj wzmiankowanego przekopu na gościńcu. Jak się bowiem później szarżując przekonałem, przekop dostatecznie nie był zarównany i tylko przeskoczony być musiał: szczęściem że nie był zbyt szeroki. Kto wie bowiem czyby szarża była się mogła udać, gdyby Hiszpanie przekop szerszy byli zrobili.

Tak jak nie wiem co zaszło przed wąwozem w czasie mego reconnaissansu, tak też nie wiem co się działo u mego szwadronu od mego powrotu aż do saméj szarży. Oddawszy bowiem Hiszpana Dziewanowskiemu, poszedłem cokolwiek w bok szwadronu aby konia czémprędzéj rozkulbaczyć i popręg poprawić. Kilku żołnierzy którzy co dopiero z patrolu ze mną wrócili mając już to również mniéj więcéj coś do naprawienia, już też by mi być pomocnymi, udało się za

mną. Tu nadmienić muszę, że porucznik Krzyżanowski przyjechał do mnie, kiedym był konia rozkulbaczył, winszując mi szczęśliwego wypadku reconnaissansu i mówi do mnie: widzisz, cesarz przyjechał, zaraz się wykaże albo pójdziemy naprzód albo cesarz nakaże odwrot, i wrócił do szwadronu. Wtém ledwo com konia okulbaczył i popręg poprawił, już spostrzegłem szwadron pod górę kolumną marszową czwórkami pod dowództwem szefa szwadronu Koziedulskiego gościńcem pędzący. W jaki przeto sposób rozkaz szwadronowi do ataku był dany, mianowicie czy cesarz sam jak mówisz przywołał Koziedulskiego i pokazując mu armaty do niego rzekł: „allez avec votre escadron et prenez moi ces canons“ nie wiem. Co się tyczy méj osoby, to jak już nadmieniłem, żadnego rozkazu nie słyszałem. Widząc przecież szwadron mój pędzący pod górę, czémprędzéj wsiadłem na konia i z żołnierzami którzy się na bok ze mną byli udali pospieszyłem by jak najprędzéj złączyć się z szwadronem, zwłaszcza że jeszcze nie miałem czasu plutonu mego odebrać. Szwadron dogoniłem, kiedy już był wpadł do wąwozu i już był zabrał pierwsze piętro armat i pędził daléj bez najmniejszego zatrzymania się i bez żadnego porządku wojennego, która dla cieśniny nawet był niepodobnym. Wszyscy pędzili wśród ogromnego ognia tak kartaczowego z przodu jak z lewéj i prawéj strony wąwozu i samego jego szczytu, z ręcznéj broni przez piechotę na nas w tę cieśninę ciskanego, jeden drugiego przy odgłosie „vive l'empereur“ wyprzedzając, by najprędzéj na szczyt wąwozu się dostać i na nieprzyjaciela natrzeć. I tak lotem błyskawicy pędząc padł wprawdzie pierwszy, drugi za pierwszym, trzeci za drugim ale następujący nie uważając na poległych i ciągle spadających kolegów, już każde z czterech piętr z jego czterema armatami rąbiąc w pędzie kanonierów, jedno po drugiem zdobywał, nie pozwalając żadnéj bateryi, jak tylko raz wystrzelić. Które też ledwie co były wystrzeliły, już były nasze. Piechota zaś sama na szczycie gór stojąca, atakiem naszym tak natarczywym przestraszona, uciekła. Tak w kilka minut przeszkoda prawie nie do zwyciężenia uchylona, droga cesarzowi i jego armii do Madrytu otwarta i utorowana.

Wzięcie téj bramy Madrytu, w obóz hiszpański 13tysięczny tuż za wąwozem stojący taki paniczny przestrach rzuciło, że już nie myśleli o stawieniu czoła armii cesarza na drodze przez nas utorowanéj, postępującéj ale wszyscy jak mogli bez najmiejszego porządku uciekali. I tak wszytkie chorągwie, wszystkie armaty, wszystkie wozy amunicyjne, kasa, jedném słowem cały obóz prawie, bez wszelkiéj walki w ręce Francuzów się dostał. Strach tylko zwyciężył Hiszpanów, który ich po przełamaniu tarczy za którą się za niezwyciężonych mieli, przejął.

Wzięcie też tego wąwozu, którym zasłonięci za niezwyciężonych się mieli, nietylko obóz Hiszpanów oddało w ręce cesarza ale popłoch nie do opisania na cały kraj rzuciło i siłę moralną Hiszpanów która po kapitulacyi pod Bajlen Duponda nadzwyczaj się podniosła, tak dalece iż po całym kraju śmiało powstanie podnieśli, naraz w dumnym tym narodzie szarża nasza zniszczyła. Centralna Junta z Aranjuez, mająca się za ową tarczą za bezpieczną, teraz dopiero przestraszona uciekła. Tak to cesarz bez żadnego prawie oporu do Madrytu wszedł. Słusznie przeto Thiers księgę XXXIII opisującą kampanią w 1808 r. w Hiszpanii godłem Somo-Sierra uczcił, kiedy wzięcie wąwozu tego przez szwadron nasz nietylko armią hiszpańską w ręce cesarza oddało, ale nawet na los całéj kampanii wpłynęło.

Taka tylko szybkość i nieustraszoność z jaką chevaulegery szarżę wykonali, mogła cudu tego waleczności dokazać. Wszelkie zatrzymywanie się w ataku byłoby dało czas do powtórnego nabicia armat, któreby i tak naszą małą garstkę były tak przetrzebiły, żeby nas było przybrakło do zdobycia pozostałych bateryi. Nie jest zatém prawdziwą a tém samém nie historyczną wzmianka o zatrzymywaniu się szwadronu.

Prawda, że dopędzając szwadron dopędziłem go pozdobytéj pierwszéj bateryi, zastałem kilku żołnierzy między innymi, gdyż mi to bardzo dobrze w pamięci zostało, i Konopkę z 7méj kompanii na kasztanowatym koniu z białą grzywą, skupionych w zagięciu, w którém pierwsze piętro armat ustawione było. W pierwszéj chwila ogromnego ognia zatrzymali się oni tam po za szwadronem daléj pędzącym. Widząc mnie obok nich pędzącego galopem, na jaki tylko mój doniec mógł się był zdobyć, wołali na mnie „panie poruczniku, panie poruczniku nie jeździj, bo tam bardzo strzelają!“ W mgnieniu oka przecież gdy widzieli, żem nietylko na ich przestrogę nie zważał, ale przeciwnie rzuciwszy im kilka ostrych słów z wykrzykiem „en evant vive l'empereur“ w jednéj chwili jużeśmy się złączyli ze szwadronem. Może to była ta chwila, w któréj podług Twych pamiętników szwadron się miał zatrzymać i która może nie jednemu z przypatrujących się dała powód do mniemania tak rozpowszechnionego że szwadron się zatrzymał, co że być nie mogło sam z pewnością, teraz przyznasz.

Raz przecież przypuściwszy zatrzymanie się szwadronu w szarży, uznałeś za najstósowniejsze przypuścić takowe w chwili, kiedy pod Koziedulskim konia ubito. Chcąc przeto porządek w szarży wprowadzić, powiadasz*) że po nim Dziewanowski komendę objął i z szwadronem zatrzymanym atak ponowił. Prawda że Koziedulskiemu na początku szarży konia ubito i że tenże w skutek tego z szeregu nacierających nie mogąc szwadronu pieszo gonić cofnął się. Prawda że komenda ze starszeństwa Dziewanowskiemu przypadła. Nieprawdziwém przecież jest żeby się szwadron po ustąpieniu Koziedulskiego miał w szarży zatrzymać, dla tego też niestósowném o obejmowaniu komendy wspominać. Wspominanie nawet o podobnéj formalnosci w opisie szarży somo-sierskiéj, rzecz samą w nieprawdziwém świetle wystawia. Pominąwszy bowiem że o zatrzymywaniu mowy być nie może, mogłoby się z Twego opisu zdawać że w czasie szarży był do formalnego obejmowania komendy czas, kiedy ta lotem błyskawicy wykonaną została. Szwadron raz puściwszy się pod górę przy odgłosie: en avant, vive l'empereur, innéj komendy nie słyszał i nie potrzebował. Wszyscy tam bowiem, kapitan, porucznik, żołnierz jednym zapałem zagrzani, jeden i ten sam odgłos wydając, jednym pędem nie zważając ani na cofnięcie się Koziedulskiego ani też na poległych i ciągle padających oficerów, kolegów, wąwoz zdobyli i w pędzie samym armaty zdobywając, kanonierów nie zatrzymując się, rąbali. Nie chcę ja tu bynajmniej zmniejszać sławy którą się okrył Dziewanowski. Z pewnością jeżeliby kto chciał udział w szarży dzielić: jemu największy dział przypada ale nie w skutek komendy którą atak z za-

*) Przemawia tu Niegolewski do Załuskiego który napisał Wspomnienie o pułku lekkokonnym.

trzymanym szwadronem miał ponowić, tylko w skutek stanowiska jakie w szwadronie zajmował, nie ustępuje nadto z hufca mimo ran odebranych aż dopóki siły mu tylko starczyły, i ciężko ranny nie padł, porwał za sobą szwadron który do niego jak do ojca był przywiązany. Równie nie w prawdziwém świetle wystawiasz szarżę, kiedy zbyt szczegółowo starasz się opisać porządek w jakim wykonana została, jak n. p. kiedy o szlosowaniu wspominasz. Raz szarżę rozpoczętą ten szlosował którego koń do tego znaglił. Najlepszym tego dowodem że ja, pomimo żem już po rozpoczęciu szarży do wąwozu przypadł, wkrótce nietylko nie byłem ostatni ale prawie do pierwszych zapędziłem. Dobrze sobie przypominam porucznika Rowickiego, który już obok mnie pędząc wołał „Niegolewski trzymaj mi konia bo mi się zbiegał, nie mogę go wstrzymać!“ na co mu odkrzykuąłem „puszczaj go.“ Już też młody ten oficer z nikiem więcéj nie mówił, bo zaraz potém ujrzałem go spadającego z konia. Był to drugi z moich kolegów, któregom zabitego widział. Między pierwszą a drugą bateryą widziałem leżącego Krzyżanowskiego o którym wyżéj wspomniałem.

Porucznika Rudowskiego, któren równie zginął, w czasie szarży ani żywego ani poległego nie zoczyłem. Kapitana Diewanowskiego, któren nogę miał od armatniéj kuli zgruchotaną, jeszcze widziałem aż u trzeciego piętra po lewéj stronie wąwozu. Kapitan Piotr Krasiński był rażony ciężką kontuzyą w piersi, ale bez rany i żebra mu (jak mylnie powiadano) nie wyjęto. Kiedy został do ustąpienia z szeregów zniewolony, nie wiem. Z wszystkich oficerów szwadronu, którzy tę szarżę czwartego piętra wykonali, ja jeden nie odniosłem na mém ciele żadnego szwanku, ale mój koń, mój mundur, ładownica, czapka wszystko to ucierpiało od kul karabinowych, świszczących na wszystkie strony. Jak po ustąpieniu szefa Koziedulskiego, tak i teraz lubo Dziewanowski leżał zwalony z konia, przecież resztki szwadronu nie zatrzymały się ale tym samym pędem zdobyły i czwartą bateryą. Za tą już otwierał się niejaki przestwór między górami. Na widok koło budynku zebranéj piechoty hiszpańskiéj w kupce, po lewéj stronie gościńca, wstrzymałem konia w miejscu. Dotąd bowiem nie zatrzymując się ni nie oglądając się wpadłem do wąwozu, pędziłem z okrzykiem en avant, vive l'empereur w śród gradu kul. Postrzegłszy tu przy sobie kilku chevau-legerów a za sobą wachmistrza Sokołowskiego na kulawym koniu, zawołałem: „gdzie nasi?“ Sokołowski odparł: „poginęli!“ Wielu legło istotnie, drudzy konie potracili, inni zostali w tyle, inni jeszcze pędząc z góry rozpierzchli się na prawo i na lewo, gdyż już, jak powiedziałem, był jaki taki przestwór między górami. Piechota hiszpańska z boku ciągle nas raziła, przy owéj zaś bateryi czwartéj, po za nimi stało jeszcze kilkunastu hiszpańskich kanonierów. Krzyknąłem: „Sokołowski uderzmy na na nich“ i uderzyliśmy z tą garstką. Hiszpanie uciekli, a biedny Sokołowski powiększył swą śmiercią liczbę poległych w tym boju kolegów. Nie widziałem koło siebie i owych kilku chevau-legerów. Wtém koń krwią płużący padł podemną od strzału działowego: w oka mgnieniu kilku Hiszpanów uciekających nawróciło a dwóch z karabinów mi do głowy przyłożonych dało ognia. Kule atoli opieką nademną Wszechmocnéj Opatrzności, ograniczyły się na zadaniu mi tylko ran ciężkich. Rzadko komu tak z bliska śmierć zaglądała w oczy. Widziałem karabiny na głowie, słyszałem obadwa strzały, poczułem mdlenie, ale jednak rozumiałem Hiszpanów wołających à la dretsha à la dretsha, arriva arriva (na prawo na prawo, na góry na góry). W téj chwili dziewięć razy pchnięto mnie bagnetem, obrano z pieniędzy a konia zostawiono na mnie. Razy bagnetów ocknęły mnie w bólu i sprawiły żem się poczuł przy życiu i wrócił do zupełnéj przytomności umysłu. Otoczony Hiszpanami, w obawie by mnie u nich los zwyczajny jeńców to jest śmierć w mękach nie spotkała, nawet odetchnąć nie śmiałem. Wkrótce słyszeć się dały coraz głośniéj bębny i okrzyki en evant, vive l'empereur i naraz ujrzałem naszych i chasseurów francuzkich.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

GAŁĄZKA JAŚMINU.

Komedya w jednym akcie przez Zygmunta Przybylskiego.

Hr. Zygmuntowi Cieszkowskiemu
poświęcam
Autor.

Przedstawiona w Krakowie poraz pierwszy dnia 14 Września 1878.

Osoby:

Laura.
Jadwiga.
Stefania.
Andrzej.
Zdzisław.
Dyonizy.
Służący.

Scena przedstawia elegancki salonik — fortepian — duże lustro, i t. d.

SCENA I.

Laura *wychodzi z bocznych drzwi* — Służący.

Laura.

Czwarta godzina — o piątéj obiad — po siódméj niech kareta zajedzie. Czy panna Jadwiga jest w ogrodzie?

Służący.

Tak jest proszę jaśnie pani.

Laura

Gości wprowadzić do tego salonu. *(n. st.)* odejdź — *(służący wychodzi — staje przed zwierciadłem.)* Lat trzydzieści dwa — wdowa — bogata, kto wie? dlaczegóż nie miałabym szczęścia jeszcze raz spróbować. Ale jak zacząć? jak spojrzeć? czy zrozumie? — Czy pozna, że serce moje nim tylko zajęte... *(patrząc w zwierciadło)* No — nie źle... wcale dobrze — tylko śmiało — odwagi — a wygrana moja...

SCENA II.

Laura — *wchodzi* Jadwiga *(z koszykiem kwiatów)*

Laura.

Jesteś nareszcie — nie wychódź z salonu, wiesz że mamy dzisiaj gości na obiedzie.

Jadwiga.

Byłam nad stawem, tam tak przyjemnie — Stefania nie chciała mi towarzyszyć, mówiąc, że musi kończyć swój pamiętnik.

Laura.

Usiądź przy mnie Jadwisiu... chce z tobą pomówić.

Jadwiga.

Słucham cię, kochana kuzynko — masz minę tak poważną, że obawiam się, czy...

Laura (*przerywa jéj*).

O bądź spokojną — idzie tutaj o twoje szczęście — o twój los...

Jadwiga.

O moje szczęście? o mój los?

Laura.

Tak jest.... jako dobra opiekunka powinnam pomyśleć o wszystkiem...

Jadwiga.

Ależ ja jestem zupełnie szczęśliwą — szczęśliwą jak ptaszek, który może bujać po powietrzu. Dzięki tobie, kochana Lauro, mam wszystko o czem tylko zamarzyć mogę. Jesteś dla mnie drugą matką... Dlatego też nie opuszczę cię nigdy — pozostanę przy tobie zawsze... moja matko...

Laura (*z niezadowoleniem*).

No dobrze... dobrze... ale widzisz, szczęście nie jest zupełnem, kiedy nadchodzi wiek, w którym należy pomyśleć... (*wstrzymuje się*).

Jadwiga.

O czem?

Laura.

O małżeństwie... Postanowiłam wydać cię za mąż.

Jadwiga.

Mnie? Ja o tem nie myślę wcale. Na cóż zmieniać los, jeżeli do tego nie czuje się żadnéj potrzeby. Małżeństwo — mój Boże — czyż koniecznie za mąż wychodzić, żeby nie zostać starą panną? Wszak i wolność ma swoje powaby. Nie, Lauro, za mąż nie pójdę — a zresztą nie znam nikogo ktoby chciał biedną panienkę bez posagu brać za towarzyszkę życia...

Laura.

Ale ja wiem... i ty znasz go także...

Jadwiga.

Znam go? któż to taki? (*nieco zmieszana*) powiedz Lauro... jeżeliby tak było w istocie...

Laura.

Przeczucie nic ci nie mówi?

Jadwiga.

Moje przeczucie.! (*n. st.*) Czyżby to on? (*gł.*) Ja nie wiem... lecz jeżeli mam wierzyć twoim słowom... to sądzę... że pan... Zdzisław...

Laura.

Kto? Zdzisław — Nie — nie — nigdy nie myślałam o Zdzisławie dla ciebie... Ale zkądżeś ty przyszła na tę myśl — powiedz Jadwigo... Ja nie o panu Zdzisławie myślałam dla ciebie...

Jadwiga.

Nie?

Laura.

(*n. st.*) Muszę ją wybadać. (*gł.*) Powiedz Jadwigo — dlaczego właśnie o nim pomyślałaś?

Jadwiga.

Alboż ja wiem?... Wiem tylko że kiedy mam go ujrzeć, doznaję dziwnego wzruszenia, z którego nie umiem zdać sobie sprawy...

Laura.

Cóż więcéj?

Jadwiga.

Często zapytywałam sama siebie, czyż ja go kocham — czy tylko szacunek lub przyjaźń wzbudza on we mnie. Nic nie odgadłam — pytanie pozostawiałam bez odpowiedzi... Ale teraz kiedy posłyszałam z ust twoich o małżeństwie... czuję że jeżlibym kiedykolwiek mogła marzyć o takiem szczęściu — to tylko — przy boku Zdzisława.

Laura (*n. st. z żalem.*)

Kocha go... (*gł.*) Uczucie przelotne, które powinnaś wybić sobie z głowy...

Jadwiga.

Ale ono powraca sercem...

Laura.

Żarty. Zdzisław nie myśli wcale o tobie — wiem o tem... i ty powinnaś o nim zapomnieć — a zapomnisz wychodząc za mąż za innego, za człowieka, który zapewni ci szczęście i spokój. Jesteś nieco egzaltowaną — a strzeż się, miłość często zaślepia - mogłabyś wiele ryzykować a w zamian zyskać co? rozczarowanie, rozczarowanie tem straszniejsze, że jesteś w wieku poezyi, czarów i uroków. Dlatego posłuchaj mojéj rady, nie myśl o nim a zapomnisz i przekonasz się, że cała ta twoja niby miłość, była tylko pyłkiem kwiatu, który za lada podmuchem wiatru rozwiewa się we mgły... Człowiek, którego ja dla ciebie wybrałam, będzie dziś u nas na obiedzie... znasz go...

Jadwiga.

Pan Andrzéj?

Laura.

Tak — on. Pomyśl o nim i bądź rozsądną. Przekonasz się, że wart twego Zdzisława. Pozostań tu — idę wydać niektóre rozkazy. Andrzéj.... (*z uśmiechem*) pamiętaj... (*wychodzi na lewo*).

SCENA III.

Jadwiga (*sama*).

Pomyśl i bądź rozsądną...; rozsądną — jestem nią. (*po chwili*) A może Laura ma słuszność, może to nie miłość — może tylko urojenie... Szczęście się nieraz narzuca, każe wierzyć w siebie -- a któż się od szczęścia odwraca?... Ja dotąd czułam się tak szczęśliwą!... każdy dzień z myślą o nim ulatywał mi jak oberwany listek róży, zabierając z sobą mą cząstkę... Byłożby to tylko urojeniem? O w takim razie jestem godną pożałowania... Zapomnieć? Czyż to tak łatwo? czy można tak prędko zapomnieć, chociażby o jednéj chwilce szczęścia — które nam nagle zaświeciło... (*smutnie*) ażeby potem zblednąć i zgasnąć... Zapomnieć.,. to trudno będzie... (*siada zamyślona*).

SCENA IV.

Jadwiga Stefania (*wchodzi z prawéj strony z ogromnym kajetem — piórem i atramentem*).

Stefania.

Och nigdzie spokoju — tutaj będzie najwygodniéj — mój ojciec przeszkadza mi ciągle, żartując i naśmiewając się ze mnie... a to ty Jadwisiu...

Jadwiga.

Zawsze przy pracy...

Stefania.

O tak — jestem już przy rozdziale dwudziestym dziewiątym i chcę dokończyć — dlatego nie przerywaj mi — proszę cię... (*siada i pisze*): „Chwila stanowcza nadeszła — moje wyznanie“ (*mówi*): „Dość długo nie mogłam się zdecydować“ (*pisze*): „Rozmowa z ojcem“ (*mówi*): Maja Jadwisiu, nie masz kawałka bibuły?

Jadwiga.

Mam na biórku u siebie — jeżeli chcesz przyniosę...

(Dalszy ciąg na 62 str.)



Wanda.



Piast.

PORTRETY
KSIĄŻĄT I KRÓLÓW POLSKICH

w całych postaciach podług pomysłu

Walerego Eljasza.

Podajemy dziś wizerunki Wandy i Piasta. Są to nader piękne i poetyczne postacie naszéj zamierzchłéj przeszłości dziejowéj.

Lud w okolicach Krakowa powtarza znaną w całéj Polsce piosnkę o Wandzie, co to nie chciała Niemca. Wanda to szczytny wzór poświęcenia dla Ojczyzny — to pobudka dla Polek, aby miłemu Narodowi poświęcały swe siły, a nawet i życie, jeżeli potrzeba.

Podobnie uroczą, i sympatyczną postacią jest Piast, kmieć i kołodziéj Kruświcki, praojciec królewskiego rodu w Polsce. Piast jest wymownym dowodem, że nie było źle w pradawnéj Polsce, kiedy i kmieć, byle poczciwy, mógł nawet najwyższą w narodzie władzę osiągnąć. O Piaście można rzec śmiało, że był to prawy Słowianin, w którym nie było zdrady.

Przy téj sposobności pragnęlibyśmy zwrócić uwagę rodaków, którym zależy na tém, aby lud i młodzież znały dobrze dzieje Polski, żeby chcieli poprzeć pomysł W. Eljasza, mający na celu wydanie w całych postaciach wszystkich władzców Polski. Wykonanie tego pomysłu niezawodnie wpłynęłoby na rozszerzenie znajomości dziejów narodowych.

Stefania.

O nie — nie fatyguj się — poradzę sobie. (*skrobie scyzorykiem mur*)

Jadwiga.

Stefciu, oskrobałaś prawie całe mury w naszym domu.

Stefania.

Czyż i tego nie możecie poświęcić dla ludzkości?

Jadwiga.

Dla ludzkości?

Stefania (*podnosząc w górę kajet mówi pompatycznie*) Mój pamiętnik!

Jadwiga.

Ach prawda.

Stefania.

Pamiętnik młodéj damy, którego kartki odczytując kiedyś potomność, przekona się, że były kobiety na świecie zdolne do największych ofiar i poświęceń, że wyzwoliwszy się, ze zwykłych form swiatowych, umiały nadać sobie powagę, godność i uznanie. Jedną z tych wybranych ja jestem! Sława, która mnie czeka po śmierci, wynagrodzi mi wiele goryczy jakich w życiu doznać musiałam... Poświęciwszy się całą duszą zawodowi literackiemu, pragnę najpierwéj tym pamiętnikiem okazać świata powody, które skłoniły mnie do tak ciężkiego i trudnego zawodu. O bo ja nie należę do rzędu tych kobiet, które według jednego stempla wykute, całe swoje szczęście pokładają w tych porozaicznych codziennych zajęciach — Powołanie kobiety jest dziś inne. I podczas kiedy niejedna równie zdolna do pokonywania największych trudności — oddaje rękę pierwszemu lepszemu hreczkosiejowi — ja postanowiłam czekać!

SCENA V.

Jadwiga — Stefania — Dyonizy (*który już przed chwilą wszedł na scenę.*)

Dyonizy.

I doczekałaś się lat trzydziestu...

Stefania.

To ty ojcze... i zawsze z żartem.

Dyonizy.

Nie bałamuć głowy temu dziewczęciu — gotowa i ona zacząć spisywać swoje pamiętniki!

Stefania (*żywo*)

I tak być powinno. Każda młoda dziewica znajdująca się w tym właśnie wieku, w którym Jadwisia...

Dyonizy. (*przerywając*)

A o którym tyś już dawno zapomniała...

Stefania.

Ojcze!... powinna spisać to dla potomności, wszystko co zaznała i co,.. czuła!

Dyonizy.

Tegoby jesze brakowało...

Jadwiga.

Zupełnie jestem przeciwnego zdania. Co do mnie zdaje mi się, że powołaniem kobiety jest być dobrą żoną i dobrą matką...

Stefania.

Ach dajcie pokój... to zbyt prozaiczne... Dawniéj, wyśmiewano się z naszych kobiet, ale dzisiaj czasy się zmieniły... Patrz piędziesiąt dziewięć arkuszy zapisałam nie na to, aby słuchać twoich dziecinnych uwag... te piędziesiąt dziewięć arkuszy na których spisałam całą historyę mojego życia, wszystkie uczucia, nadzieje, marzenia (*gorzko*) i zawody — pozostaną dla niejednéj wskazówką, jak żyć i jak postępować. Pamiętnik mój odda nieocenioną przysługę społeczeństwu...

Dyonizy.

Oj... szkoda papieru i atramentu...

(Jadwiga. *d. s.*)

Zanosi się na sprzeczkę — pójdę do Laury. (*wychodzi na lewo.*)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PAMIĘTNIK

Rajmunda Bronikowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Po skończonéj téj scenie, nastąpiła nazajutrz druga po przyjściu Szembeka z pułkiem; szwoleżery pod dowództwem Gen. Kurnatowskiego, którzy z W. Xięciem Konstantym wyśli byli z Warszawy, wrócili na powrót z Gen. Kurnatowskim na czele. Kurnatowski taki był pomieszany, że jak przyjechał z oddziałem na plac przed bankiem, to drżał na koniu i byłby może dostał kulką w głowę, gdyby nie był Gen. Szembek z banku przybył, obronił go i wziął z sobą do sali zamkowéj.

Potem wyszedł na balkon Gen. Wincenty Krasiński, Gen. Kurnatowski i Gen. Szembek; Krasiński przemówił do narodu, wysławiając swoje usługi, które dla ojczyzny czynił; potem chciał Gen. Kurnatowski przemówić, ale mu nie dozwolono, i byłby tam strzał dostał, gdyż już mierzono do niego i już podobało się jednemu gorliwemu patryocie z pospólstwa położyć sztucer na ramieniu mojém i mierzyć do Kurnatowskiego, gdyby ktoś z boku nie zawołał, daj pokój, bo Szembek przy nim stoi, więc zdjął ów patryota sztucer z ramienia mego i nie strzelił. —

Gdy Gen. Chłopicki ogłosił się dyktatorem, przy odgłosie muzyki, kotłów, bębnów, w obec zebranego wojska na placu Powązkowskim, wyjechałem z Warszawy.

Stanąwszy w Kaliszu poszedłem zaraz do organizatora, do którego miałem expedycyą od Gen. Małachowskiego; z zadziwieniem przyszło mi spotkać pułkownika Biernackiego, którego znałem jako dowódzcę strzelców kaliskich w roku 1809, przywitaliśmy się bardzo uprzejmie i zaraz na wstępie oświadczył mi, iż mnie zatrzyma do organizowania batalionu piechoty w Pyzdrach, z powodu, że Józef Gajewski, który był do tego przeznaczony, z Xięstwa nie zjechał; oświadczyłem mu, iż téj propozycyi przyjąć nie mogę bo przeznaczony jestem w Krakowskie do organizacyi i, że nigdy nie służąc w piechocie, służby téj nie znam.

Puł. Biernacki nie chciał przyjąć mego tłómaczenia dodając, że jako organizator ma prawo mnie zatrzymać, lecz jako dawnego kolegę, to po przyjacielsku obliguje z tym dodatkiem, że obydwaj z jednéj szkoły Gen. Dąbrowskiego wychodzimy z tą tylko różnicą, iż on dawniéj, bo był przy nim przy organizacyi legionów we Włoszech, a ja później, więc znane nam jest Gen. Dąbrowskiego poświęcenie się dla ojczyzny, bo jego (Dąbrowskiego) było przekonaniem, że obowiązek każdego prawego Polaka, tam pełnić usługę, gdzie wymaga potrzeba; przeto sądzi, że nie mogę się wymawiać

od propozycyi przez niego mi uczynionéj. Na usilne Biernackiego błaganie, a znając go, jako prawego i najgorliwszego w poświęceniu się dla ojczyzny obywatela, przyjąłem ten obowiązek organizowania batalionu piechoty w Pyzdrach. Udałem się natychmiast do Gen. Ignacego Mycielskiego, który miał korpus kadetów w Kaliszu pod dyrekcyą i był mi znajomym, prosząc o instrukcyą organizacyi służby wojskowéj, tyczącéj się piechoty. Przyjął mnie grzecznie, lecz wymówił się też grzecznie oświadczając, iż nie ma w zakładzie instrukcyi, bo kadeci idący w służbę wojskową pozabierali. — Wracając od Gen. Mycielskiego napotkałem majora Zarembę od weteranów, z którym chociaż nie znając się, zabrałem znajomość i zaprosiłem go na kieliszek wina. Po długiéj przyjacielskiéj rozmowie, prosiłem go, czyby pod swoją komendą nie miał kilku podoficerów zdatnych do organizacyi; oświadczył mi, że się znajdują, prosiłem go zatem by pozwolił kilku na niejaki czas do uorganizowania batalionu w Pyzdrach. Przychylił się do méj propozycyi, lecz pod tym tylko warunkiem, żeby im zapewnić rangi oficerskie. Oświadczyłem, że tego zapewnić nie mogę bo nie jest w méj mocy, lecz skoro okażą się gorliwymi, to ich podam do awansu. Major przystał na to i przyrzekł mi sześciu podoficerów przysłać, co też uczynił. — Mając to zapewnienie, udałem się do Gen. Biernackiego po dalszą informacyą do wyjechania do Pyzdr.

W Pyzdrach zastałem kapitana Sadowskiego nieprzechylnego nowéj organizacyi a przychylnego rządowi moskiewskiemu, jak mnie Gen. Biernacki zapewniał. Okazałem mu polecenie do organizacyi, więc się też usunął od swoich obowiązków jako komendant miasta. — W kilka dni późniéj nadjechał Ludwik Sczaniecki do organizowania szwadronu kawaleryi. Mając dawniéj z nim znajomość, jako byłym adjutantem Amilkara Kosińskiego z roku 1809, z kampanii austryackiéj, oświadczyłem mu, że trudno będzie dwie organizacye rozpocząć w jeden miejscu, zapytałem czy odebrał inny rozkaz czy też z własnéj woli wyjechał z Pyzdr? —

Moja organizacya początkowo leniwo postępowała, bo żadnych ludzi mi nie wyznaczono do formowania. Pojechałem do Kalisza do Gen. Biernackiego z zapytaniem, zkąd ludzi dostanę. Ten oświadczył mi, ażebym się do Prezydującego administracyi pana Bonawentury Niemojowskiego udał. Chciałem iść sam, późniéj jednak zaproponowałem Gen. że najstósowniéj będzie, gdy razem pójdziemy. Generał przystał i poszliśmy. Gen. Biernacki uczynił zapytanie P. Niemojowskiemu zkąd ludzie do organizacyi dostawiani będą. Prezydujący oświadczył, że po ukończeniu robót w gospodarstwie po wsiach mustrowani być mogą. Po takiéj odpowiedzi oświadczyłem Gen., iż ja takiéj organizacyi się nie podejmuję, aby po wsiach jeździć a p. Prezydującemu tę remarkę uczyniłem, że podobna organizacya może tylko w czasie pokoju być użytą a nie w czasie wojennym, gdzie przeciw nieprzyjacielowi do boju stawać trzeba. A co z gospodarstwem się stanie jak się ludzi na żołnierzy wybierze? zapytał mnie Prezydujący. Lepiéj zaniechać całéj organizacyi, odpowiedziałem, i wyszedłem z postanowieniem powrócenia do Warszawy.

W godzinę przyszedł Gen. Biernacki do mojéj stancyi z tem oświadczeniem, że wszelkie środki przedsięwzięte zostaną do innych rozporządzeń co się tyczy organizacyi i mówił, bym spokojnie wrócił do Pyzdr a on mnie niebawem uwiadomi. Przystałem na to, że wrócę z tém atoli oświadczeniem, że jeżeli innéj nad dotychczasową nie dostanę instrukcyi, wracam do Warszawy. W tydzień po moim powrocie z Kalisza, odebrałem z Konina uwiadomienie od rady powiatowéj, iż zesłaną będzie komisya popisowa do Pyzdr, co też nastąpiło. Zjechał Ksawery Potworowski jako deputowany z rady powiatowéj; pobór nastąpił i ludzie do uorganizowania przeznaczeni zostali. Z Warszawy przysłali ze szkoły podchorążych do organizowania trzech braci Brezów, Achillesa, Teofila i Maxymiljana, późniéj zgłosiło się więcéj z nominacyą na kapitanów i oficerów. — Pomnożył się także batalion ochotnikami, którzy z Poznańskiego przybywali. Między przybywającymi byli Stanisław Rosiński, assesor sądu z Krotoszyna, Joneman, syn sędziego appellacyjnego z Poznania i Porawski, assesor z sądu Krotoszyńskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Powodowskiego Hieronima.

Katechizm i Skarbnica.

r. 1577 i 1581.

Przyczynek do Bibliografii XVI wieku.

Wymienione tu w nagłówku dwie prace Powodowskiego tworzą jednę całość; druga jest uzupełnieniem pierwszéj.

Bibliografia Polska XV i XVI stulecia zestawiona przez Estrejchera, zamieszcza je w poczcie chronologicznym i na str. 182 z następującemi tytułami:

„Catechism Kościoła powszechnego, nauki do zbawienia potrzebniejsze. Poznań, 1577. 8⁰. J(agiellońska) i K(órnicka Biblioteki.).

Skarbnica bibliey św. z pisma obojego testamentu. (dedyk. do Elżbiety Radziwiłowej Mielęckiéj (?) Wojewodziny). 1577. 8⁰. Dz(ikowska), Czar(toryskich) i Św(idzińskiego Biblioteki.)

— Toż 1581. 8⁰ W(arszawskiego Uniwersytetu Biblioteka). (Data druku 1577, dedyk. Mielęckiéj (?) 1581 r.).“

Tytuł Katechizmu brzmi dosłownie:

Catechism

Kościoła Powszechne-
go. Nauki do zbawienia po-
trzebniejsze, z dowodów Pi-
sma świętego, snadną a dokła-
dną krótkością za-
mykaiący.
Pastyrzom duchownym do nau-
ki Kościelney, Gospodarzom do czwicze-
nia domowego, y wszelkiego stanu Krześci-
anom Książki barzo pożyteczne: iako to z Prze-
mowy, y Regestru ich obaczysz. *Te-
raz nowo opisane y
wydane.*
przez Księdza Hieronyma
Powodowskiego Kanonika
Poznańskiego.

Na końcu jest cytat z św. Jana, a na odwrotnéj stronie wiersz do Czytelnika.

Katechizm ten ma 140 stron liczbowanych, wyjąwszy ostatniéj i trzech pierwszych, sześć kart przedmowy: „Nauka barzo potrzebna o używaniu tego Kathechizmu“, i dwadzieścia dwie strony regestru.

Na ostatniéj stronie odzywa się drukarz do Czytelnika:

„Aby się z wydaniem thak pożytecznego Katechizmu „potrzebie ludzkiéj nie mieszkało, zdało mi się, sam Ka„techizm, skoro jest wygotowany, wydać. *Dowody ku „niemu należące*, wrychle też będą dokończone, które „każdy, kto ich potrzebować będzie, może do tegoż Ka„techizmu potem przydać."

W Poznaniu.
Malcher Neringk. An Do.
1577
cum gratia et privilegio S. R. M.

Odezwa drukarza wspomina o „Dowodach ku niemu należących"; o takich Dowodach wspominają przedmowa i regestr; Dowody te zawiera, zdaniem mojem, Skarbnica, któréj tytuł brzmi dosłownie:

Skarbnica
Biblijey świętey.
W którą zniesione są z Pisma obojego Testamentu.
czelnieysze, a krótsze dowody,
główniejszych chrześcijańskich
nauk: zamknionych
Katechizmem
do tego tu naprzod
położonym.
Nie tylko tym którzy Bibliiey mieć albo czytać nie mogą,
ale też w niey ćwiczonym, dla gotowych
każdéy nauki dowodów, barzo przygodna; jako przedmowa przed Regestrem obmawia.
Autora X. Hieronima Powodowskiego Kanonika Poznańskiego.

Na końcu i na odwrotnéj stronie karty tytułowéj zamieścił autor różne cytaty z pisma świętego.

Następuje dziewięć kart dedykacji:

„Jaśnie Wielmożney Paniey, Paniey Elżbiecie Radziwi„łownie, Mieleckiey,*) wojewodziney Podolskiey, starościney „Nowomieyskiey, y Grodeckiey, etc. wszelakich w łasce „Bożey pociechy szczęśliwości,"

pisanéj w Poznaniu 20 dnia Stycznia Roku 1581, dwie karty z napisem „Klucze do tey Skarbnice" i wreszcie „Dowody z Pisma świętego wybrane, kthórych mieysca po stronach tego **Katechismu** są, poznaczone." — Egzemplarz, jaki mam pod ręką, jest defektowny kończy się na karcie 213; początkowych kart 24 nie jest liczbowane

Uderza rok 1581, w którym Powodowski napisał dedykację; wspomniane powyżéj „Klucze" wyświecają przecież tę okoliczność.

Oprawiono też razem Skarbnicę z Katechizmem, raz podług chronologii, drugi raz podług ogólnie przyjętego zwyczaju, że dedykacja następuje zaraz po tytule, nie uwzględniając tytułu Skarbnicy który wspomina o „Katechizmie do tego tu naprzód położonym. Ztąd wynikło niezawodnie, że do katalogów dostał się raz tytuł Skarbnicy, drugi raz tytuł Katechizmu; że jedni podają rok 1581 a drudzy 1577.

Głównem przeto dziełem jest Katechizm, a późniejszym dodatkiem Skarbnica, która wyszła w r. 1581., lub też później.

Wykazana zaś w Bibliografii Estrejchera edycja Skarbnicy z r. 1577 zdaje mi się wątpliwą.

Na poparcie wreszcie mego twierdzenia przywodzę tu następujący ustęp z „Kluczów do Skarbnicy."

„Tą przyczyną ia przywiedziony, mówi Powodowski, przed kilkiem lat (1577) wydałem był ten Katechizm, w który zamknąłem porządnie i jako najkrótczej sumę potrzebniejszych artykułów wiary naszéj chrześcijańskiéj. A przy każdej nauce, na brzegach Katechizmu, oznaczyłem miejsca w Biblii Świętéy niektóre przedniejsze które do każdej z osobna nauki należały, dodawając mądremu Czytelnikowi jakoby klucza niejakiego, którym sobie dowodów Pisma Świętego do tych nauk z Biblii Świętey dosięgnąć miał.

*) mylnie pisze Estrejcher: „Mielęckiéj."

„Ale iż wiele ich albo Biblii nie mając, albo liczby do takiego w niej znajdowania nie rozumiejąc takowego klucza trudno użyć mogli, tedym znowu nie litował, prace zebrać i cale według porządku i rozdziału tegoż Katechizmu spisać te wszystkie dowody na brzegach położone, aby każdy i bez Biblii mógł mieć na swem miejscu i na gromadzie sentencye Pisma Świętego do każdej nauki zbawiennej z osobna należące. Jednak potem, gdym już jakmiarz połowicę tej tak wielkiej pracy był odprawił, obaczywszy, że jej ludzie mało poczęli być wdzięczni, ztąd iż Katechizmy, pierwéj do tego wydane, nie szły od ręku tym, którzy w drukowaniu i w przedawaniu pracę i nakład niemały przy mnie podejmowali, tedy z tej przyczyny jużem był od kilku lat ostatek tej pracy na stronę odłożył, a jakoby porzucił, czekając za tem, owaby kto inszy godniejszy i fortunniejszy co takowego ku pospolitej tak wielkiej potrzebie wydać chciał.

„Ale gdym się tego doczekać nie mógł, ani się osłyszeć, aby się kto do tego miał, przeto z przyczyn a *motiva* wyżéj omienionych a zatem też dla żądania niektórych osób, którzy o odlogu tej roboty u mnie wiedzieli, dałem się o to do tego przywieść, iżem te to *Dowody* nauk chrześcijańskich wielką pracą skończywszy, nie mniejszym też nakładem ku pospolitemu używaniu wydał" i t. d. —

Trzeci egzemplarz, znany, Katechizmu posiada p. Zygmunt hr. Czarnecki w Rusku.

CZEMU?

Na téj drodze gdziem przed laty
Kwiaty same zrywał,
Gdzieś w niebiańskie błądząc światy
Pieśni szczęścia śpiewał,

Czemuż dzisiaj same groby
Spotykam i krzyże,
A nad niemi pieśń żałoby,
Brzmi gdy się przybliżę?

A gdy w górę wzrok podnoszę
Zbolały i łzawy,
Na błękicie wnet potroszę
Znak się wznosi krwawy.

Czemuż szczęścia już tu nie ma
Jak za dawnych dni,
Czarna mara przed oczyma
I ból w sercu tkwi?

W sercu tylko mojem jeszcze
Został się zakątek,
W niem wspomnieniem lubem pieszczę,
Talizman pamiątek.

Poznań, w Lutym 1879. *Marja Sokolnicka.*

„Lech" wychodzi co sobotę w Poznaniu. Przedpłata ćwierćroczna wynosi na pocztach 2 marki, roczna wprost w redakcyi 8 marek, dla Austryi 5 złr., dla Ameryki 3 dolary. W Poznaniu dla tych, co sami w ekspedycyi (ul. Wodna nr. 15) odbierają, ćwierćrocznie 1 m. 50 fen. Listy dochodzą pod adr. *Lech Poznań.*

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.